

ROZDZIAŁ V

WSCHODNIA MARCHIA

Ze świecą trzeba by było szukać w Tamriel, a może nawet w Atmorze i Akavirze, drugiego takiego bazarza, którego ork poznał w trakcie podróży do Wschodniej Marchii. Gadatliwy mężczyzna przedstawił się jako Herbane, co już brzmiało niedorzecznie, ponieważ trudno było stwierdzić, czy wymienił imię, czy raczej nazwisko, jednak historie opowiadane przez niego później brzmiały tak nieprawdopodobnie, że godność jegomościa – prawdziwa czy zmyślona – przestała odgrywać jakąkolwiek rolę. Bite pół godziny rozwodził się na temat swych fantastycznych przygód: jak to toczył pojedynek z wiedźmokrukiem usiłującym magią wyssać z niego duszę; jak to zstąpił do dwemerskich ruin i napotkał w nich krasnoludowego centuriona wielkości kilku dorosłych osób, mierząc się z nim w boju na śmierć i życie; jak to w pobliżu Skały Shora zdarł skórę z żywego niedźwiedziolaka (że co?!) i uszył z niej bryczesy. Gdy po pewnym czasie tematy się wyczerpały, nadal niezrażony młócił słomę, na powrót poruszając wątek czarownic skrzyżowanych z ptakami. Minę miał przy tym absolutnie pompatyczną; zdawało się, że recytował epopeję przed obliczem Titusa Mede II, podczas gdy w rzeczywistości strzępił język w towarzystwie zblazowanego Orsimera, obrazując najprzeróżniejsze dykteryjki.

Zapytany o to, dlaczego kieruje się do Wichrowego Tronu, odpowiedział, że na północ przyciągają go pogłoski o niezbadanych poczwarach w postaci tzw. lodowych upiorów, czyli unoszących się w powietrzu półprzezroczystych żyjątkach egzystujących wyłącznie w mroźnym klimacie. Anegdociarz położył jednocześnie akcent na fakt, że słowo „żyjątko” może być w tym kontekście zgubne, ponieważ jego informator, którego nazwiska nie chciał wymienić, oświadczył, że nieuchwytnie zjawy potrafią wyrznąć w pień cały oddział strażników miejskich. W tym miejscu pozwolił sobie na uwagę na temat kurażu, ułańskiej fantazji oraz bezgranicznej dociekliwości pchającej go w arcygroźne rejony Skyrim, a orację zwięździł spostrzeżeniem, że nie lęka się niczego: ani lodowego upiora, ani wampira, ani smoka. Niestety, żadnego zmija dotąd nie spotkał, dlatego kolejną książkę, a wydał już dwie, napisze o swych przygodach w północno-wschodnich dzielnicach prowincji. Później plótno koszałki-opałki o oczach tygry-

sów szablatozębnych, cenionych składnikach do przyrządzania mikstur, by następnie po raz enty skupić się na zmaganiach z wiedźmokrukami... Czy to się nigdy nie skończy?!

W okolicach zakola Białej Rzeki ork nauczył się już ignorować farmazony Herbane'a; androny wpadały jednym uchem, uchodziły drugim, a pomiędzy tymi czynnościami w czaszce nic się nie działo. Tymczasem wysłużony powóz leniwie toczył się po szlaku, gdy nad horyzontem poczęły się zbierać czarne, ciężkie chmury, zwiastujące bliski deszcz. W pobliżu traktu pucołowaty chomik stanął wówczas na tylnych łapach, zerknął w niebo, poruszając niespokojnie wibrysami, po czym zdecydował się wrócić do jamy przy gościńcu, niosąc w policzkach zebraną suchą trawę, by wysłać nią norę. Hałaśliwe jaskółki przelatywały co chwila falami nad dachem karety, zataczały koło i od nowa rozbrzmiewała ponad głowami podróżników szarańcza krzykliwych treli. Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że zmiana pogody odwróciła uwagę geroja męczyduszy od referowanej ze wszystkimi szczegółami bajdy. Wprost przeciwnie – w tych okolicznościach klituś-bajduś znalazł pretekst, ażeby zaprezentować gro-Barlurce historię o drogocennej perle pozyskanej przezeń z małża spoczywającego w jakiejś płyciźnie. Woda stanowiła prawdopodobnie jedyne podobieństwo łączące opady i klejnot, zgodnie z przypuszczeniami Orsimer, dlatego w tym dniu rozmówca – a raczej monologista, bo Golzagor rzadko zabierał głos – zyskał nowy przydomek, którym ork określał klepaka w myślach – „Szczezuja”. Nie podał biedak imienia, więc przynajmniej dostał pseudonim.

Ork uznał żartem, że powinien był od początku, od pierwszego dnia przeprawy do Skyrim nadawać spotkanym osobom przezwiska, ażeby ich lepiej zapamiętywać. Starał się zliczyć ich wszystkich w pamięci, lecz szybko stracił rachubę: Ma'dran, Ra'zhinda, Ma'jhad, jeden kocur, co spadł w przepaść, Breton zdrajca, legat cesarski, generał Tullius, Ulfrik Gromowładny, Ralof, Morten Nieugięty... czy Nieulękły? Koniokrad, pokonana pani oficer, Hod, Gerdur z Rzecznej Puszczy, galopant Sven, jarl Balgruuf Większy, zarządca Proventus, czarodziej Farengar, kapłan Andurs, Jon szachista... Faktycznie, od tego nadmiaru można zbaranieć, a tymczasem „Szczezuję” zakonotuje po grób! Co z tego, myślał Orsimer, skoro wolałby już nigdy w życiu nie zetknąć się z tym pleciugą, który aktualnie komentował dokonania mnichów w zakresie przepowiadania pogody z kształtu obłoków.

Początkowo ze sklepienia niebieskiego siąpił kapuśniaczek, tak więc tułacze kontynuowali jazdę, jednak stopniowo lekka mżawka zmieniła się w intensywną ulewę, a spadające wielkie krople nagiwały ku ziemi pąki kwiatów, w związku z czym furman podjął postanowienie, aby przystopować pod bokiem strzelistych wież, obecnie zaledwie ruin. Konie pokornie spełniły polecenie, chowając się pod kamien-

nym zadaszeniem ponad wejściem do basztki, zaś Golzagor spoglądał przez okno, po którym spływały strugi deszczówki, i nie w smak było mu wyściubić nos. Ściekająca po szkle woda, scalając się z przyklejonymi od zewnętrznej strony kroplami, gwałtownie przyspieszała połączona w większe pasma, a następnie sączyła się przez prześwit w drzwiczkach do środka.

– Coś tu przecieka – zauważył dorzecznie „Szczeżuja”. – Ach, ciągle zachowuję w pamięci wyprawę na Czarne Mokradła sprzed dziesięciu lat. Było wtedy tak wilgotno pod Gideon, że przemakały nawet wojskowe człapy, a trzeba dodać, że musiałem przygotować się do ewentualnych rękoczynów z bagiennym lewianem, gdyby ten nagle wynurzył się... – Herbane ogarnął wzrokiem pustą karete. – A ten gdzie zniknął?

Odpowiedź przedstawiała się prosto: w trakcie kolejnego wykładu nowinkarza ork udał się w ulewnym deszczu w kierunku wieży, zostawiając gawędziarza samego z jego opowiastkami. Woźnica zatrzymał się w tym czasie pod rozłożystym drzewem i znudzony pykał fajkę, oparłszy się o gruby pień, a widząc idącego w jego stronę Golzagora, zagwizdał, by razem z nim schronił się pod gęstą kopułą liści. Orsimer jeszcze całkiem suchym przegubem wytarł czoło i odezwał się do przewodnika po Skyrim:

– Ależ się rozpadało! Oberwanie chmury. – Wyzymał nogawkę, skręcając materiał.

– Naleciał kłęb – mówił stangret. – Zaraz przejdzie, o tam. – Wskazał cybuchem błękitne niebo ponad skalistymi górami. – Nie lepiej siedzieć w środku? – zapytał.

– Nie.

– Mhm – mruknął wozak, zaciągając się głębiej i wypuszczając po chwili z ust siwy dym.

Biała Rzeka tymczasem, zasilona dodatkową porcją wody, przybrała na sile, a jej nurt podmywał brzeg, zabierając co jakiś czas z prądem kawałki ziemi i mniejsze kamienie. Okolica pogrzyżyła się w szarości, bowiem słońce z trudem przebijało się przez ołowiany baldachim otulający zacisze mrocznymi, melancholijnymi ramionami, a raptowny podmuch wiatru poruszył zwartą koronę, strząsając z liści na ramiona wojażerów drobiny cieczy: raz życiodajnej podczas suszy, a raz śmiercionośnej w razie powodzi.

Co za paradoks! Ten sam płyn, to samo ciało przybierające kształt naczynia, w którym się znajduje, jednocześnie daje i zabiera, buduje i niszczy, płodzi i zabija, rodzi obfity plon i powoduje gnicie ziemiopłodów... Jest więc dobre czy złe? Jon miałby pewnie na ten temat stanowcze zdanie: jeżeli tkwi w czym odrobina niegodziwości, psuje ona od wewnątrz podmiot, rozkłada go jak cielsko padłej krowy w świetle ciepłych promieni tarczy słonecznej. To prosta logika: nigdy nie walcz, bo przy okazji

zabijasz, a całe dobro wynikające z takiego rozwiązania zwyczajnie zignoruj. Wodę należałoby zatem uznać za złą z uwagi na potopy; Sorena, bohatera nordyckiej baśni, za niegodziwego kłamcę, ponieważ uznał ostatecznie, że powinien był zataić przed chorą żoną prawdę; gromowładnych za podłe dusze, szubrawców i niemoralnych zbirów, ponieważ sprzeciwiając się tyranii, czasem zmuszeni są kogo uśmiercić. Nie, ostatni sen nie przekonywał orka, nie przemawiał do niego, zaś twierdzenie, że można wygrać, pasując, wydawało mu się pustym frazesem, czężą gadaniną nocnego fantazmatu.

Jedna tylko kwestia go trapiła: o co tak naprawdę rewolucjoniści przelewali krew? W imię czego stawiali opór? Czy ujmowali się za niewinnie skazanymi, sekowali urzędników łapówkarzy? Pewnie, nikt nie chciałby, aby w jego kraju panoszyli się skorumpowani dostojnicy, a już tym bardziej nikt nie życzyłby sobie gilotynowania cnotliwych kwirytów, ale – na miłość Mary! – takie występki i wszeteczności zdarzały się wszędzie, pod każdą szerokością geograficzną i w każdej epoce. Coś musiało przelać czarę goryczy, czego buntownicy nie mogli zdzierżyć, czego nie dało się zaakceptować żadną miarą.

– Mogę o coś spytać? – odezwał się do woźnicy Golzagor. – Jest pan rodowitym Nordem, racja? Na pewno pańska rodzina zamieszkuje Skyrim od dziada pradziada.

Fajczarz odsunął od warg wygięty, lekko zżuty ustnik, odpowiadając z podniesioną głową niczym bakałarz chełpiący się erudycją przed sztubakiem:

– No ba! Antenaci szwagra byli nawet wasalami samego Fridtjofa II, jarla Gwiazdy Zarannej w drugiej erze. Otrzymali dobra na prawie lennym w zamian za udział w kampanii przeciwko Wysokiej Skale – zadzierał karku. – Niby dziesiąta woda po kisielu, ale zawsze!

– Znakomicie! Musi pan świetnie orientować się w historii i polityce Skyrim – kadził mu Orsimer, usiłując przekonać go do podzielenia się informacjami. – Bardzo proszę, niechże waćpan wyjaśni nierozgarniętemu przybyszowi: o co chodzi z tą wojną domową? Ponoć jacyś gromowładni wypowiadają posłuszeństwo Cesarstwu – sprytnie udawał marynowane ciele.

Palacz, rad z pochlebstw, spojrział dufnie na dyskutanta głupiego jak but z lewej nogi, po czym całkiem zmienił się w zarozumiałego belfra, zwracając się do gro-Barlurki per ty:

– To złożona kwestia – rzekł. – Nie ręczę, że ją pomiarkujesz, aliści podejmę starania, by gadkę uczynić zrozumiałą – prawil stangret, szukając aprobaty w oczach orka. – Eh bien! Na czele insurekcji stanął Ulfrik Gromowładny, jarl Wichrowego Tronu, dlatego jego poplecznicy określają siebie gromowładnymi. Przyjęli błękit za swe barwy i godło Wschodniej Marchii, łeb niedźwiedzi, jako sygnaturę. Pojmujesz? – rzucił znienacka.

– Tak, jak dotąd – odparł Golzagor.

– W porządku. Teraz nastąpi trudniejszy fragment, więc wytęż słuch – polecił wozak. – Nieco ponad ćwierć wieku temu, o czym musisz wiedzieć, na Tamriel najechały elfy z Aldmerskiego Dominium.

– Racja, byłem wtedy ledwie podrostkiem w Cesarskim Mieście – zgodził się ork, zaś deszcz wtenczas wyraźnie zelżał.

– Wojna zakończyła się błyskawicznie, bo zawarto traktat pokojowy, ażeby uniknąć zbędnych ofiar. Poza nałożeniem kontrybucji spiczastousi zażyczyli sobie... – zawiesił głos, jakby sądził, że w ten sposób wzmocni wyrazistość wypowiedzi. – ...żeby zdelegalizowano, niech to piorun trzaśnie, kult Talosa!

– Wykluczone! – wtrącił się zaskoczony Orsimer. – W Cyrodiil napotykałem posągi bóstwa na rozstajach dróg... Mało tego! W Białej Grani też znajduje się jego statua jak gdyby nigdy nic. Widziałem na własne oczy! – przekonywał, przypominając sobie, jak rozważał symbolikę rzeźby w Dzielnicy Wiatru.

– Nie – uciął fiakier. – Nie zoczyłeś. Przeczytałeś choć napis pod posągiem? – pytał z niejakim cynizmem w głosie, zadowolony, że wykazał się espritem.

Ork nic mu nie odrzekł, tylko zamiast tego drapał się po głowie, dumając, czy marmurowe monumenty ku czci bogów w ogóle noszą jakiegokolwiek inskrypcje. Nigdy tego nie odnotował! Fajczarz, ukontentowany, że zapędził rozmówcę w kozi róg, dalej snuł wątek:

– To nie figury Talosa, bacz na me słowa! Od czasu zawarcia traktatu pokojowego pomiędzy Tamriel a Aldmerskim Dominium są to pomniki ku czci Tibera Septima!

– Czyż to nie ta sama persona? – zdziwił się Golzagor. – Tiber Septim, cesarz, jak teogonie pouczają, dołączył w zaświatach do Ósemki, zostając dziewiątym, że tak filozoficznie powiem, bytem transcendentnym.

Dysputanci lustrowali się uważnie: ork podejrzewał woźnicę, że ten próbuje zrobić mu wodę z mózgu; wozak wslepiął się w gro-Barlurkę, spostrzegając, że dialogista nie jest taki głupi, na jakiego wyglądał.

– Właśnie na tę apoteozę – kontynuował powożący – sakramenckie elfy przystać nie mogły. Dla nich istnieje tylko Ósemka i kropka.

– Dlaczego?

– Bo mają kupry zamiast głów, niech to szlag! – uniósł się dorożkarz, impulsywnie dusząc żarzący się tytoń ubijakiem. – Któż to może wiedzieć? Tak sobie wymyślili i już! Akatosh, Arkay, Mara –

wszyscy dobrzy, jeden Talos – zły! Ale Nord jest nie w ciemną bity, nie pozwoli sobie ubliżyć! Domyślasz się, co zrobiło Cesarstwo?

– Zmieniło tabliczki pod statuuami – odrzekł ork, śmiejąc się do rozpuku. – Czemu dotąd nie słyszałem tej kapitalnej historii?

– W innych regionach mogą nie przykładać do tych wydarzeń wiele wagi. Kult Talosa jest najsilniej zakorzeniony w Skyrim – wyjaśnił stangret. – Actus purus związał się z tą prowincją za młodych lat, gdy poznawał u naszych dzielnych wojów sztukę władania orężem oraz uczył się od nich rzemiosła wojennego. – Znow rozpieła go duma. – Wtedy jeszcze miał na imię Hjalti, wiesz? Tiberem Septimem stał się po koronacji.

Problem wyklarował się w mgnieniu oka, a tak długo Golvagora męczyła ta kwestia. Dlaczego Nordowie otaczali największym szacunkiem Talosa? Na przekór! Bo im tego zabroniono! Krnąbrność tych wysokich, jasnowłosych mieszkańców północy dowiodła jednoznacznie, że prawdą jest, iż zakazany owoc najlepiej smakuje. Okazało się ponadto, że do wyjaśnienia wątpliwości orka nie był potrzebny teolog czy kapłan – wystarczyło zapytać zwykłego woźnicę, zapewne oddanego wyznawcę boga-człowieka.

Orsimer zatrzymał wzrok na smukłej wieży, której wierzchołkiem zawładnęły lśniące snopy słońca, rywalizującego o palmę pierwszeństwa z przeredzającymi się chmurami. Nawet nie zorientował się, kiedy przestało padać; a szkoda, ponieważ odnotowałby wówczas, jak dżdżyste chwile ustępowały, a zawilgocone ustronie pełne błota wysychało, zostawiając jedynie zmokłe, ciemne plamy na blokach rosłej budowli starej daty. Pokruszona w licznych miejscach baszta, pierwszorzędny punkt obserwacyjny, lecz obecnie zaledwie relikw czasów znikających za horyzontem wspomnień, chyliła się ku nieuchronnemu upadkowi. Trudno oszacować jej wiek, jednak zważywszy na stan, w którym obecnie się znajdowała, nie upłyną dwie dekady, aż kamienny słup, nadwątlony nadmiarem pęknięć i rozszczepów, runie z łoskotem do ruczaju, zaś na jego miejscu spocznie hałda potrzebnych jak dziura w moście skał.

Podobnie zbrojne zrywy – tysiącrotnie rozpętywały się podsycane pasją powstańców i zbożnymi intencjami, jednakże wkrótce stygły niczym machorka w kominie fał kuczera. Czy z tej przyczyny należy zatem odwozić rebeliantów od ich idei? Każdy buntownik, jak świat długi i szeroki, zasadał nadzieję na zrywie – że tym razem się powiedzie, że oto nadeszła chwila, gdy zwierzchnictwo zostanie obalone, a ster rządów przejmą dysydenci – lepsi, szlachetniejsi, sprawiedliwsi od dotychczasowych gospodarów. Świątełko w tunelu zwykle gasło wraz z wykonaniem wyroku, kiedy niespokojne duchy marły w buduarowych uściskach stryczka, ale zapewne spiskowcy liczyli się z takim zakończeniem.

Ork czuł już pismo nosem – wystąpienie gromowładnych przeciwko Cesarstwu rozbijało się przypuszczalnie o możliwość swobodnego wyznawania wiary w Talosa. Golzagor indagował dalej wozaka, który w tej sprawie mu przytaknął, niemniej uwypuklił refleksję, że ograniczanie zarzewia sporu do samych dyferencji w postrzeganiu natury tego wspaniałego cesarza byłoby trywializacją poglądów partyzantów:

– Tu nie chodzi tylko o religię. Ulfrik, spiritus movens przewrotu, stoi na stanowisku, że Cesarstwo jest zbyt słabe, ponieważ zaprzedało się Altmerom, elfom wysokiego rodu. Torygga, poprzedniego Najwyższa Króla Skyrim, uważał za zwykłą marionetkę, figuranta Aldmerskiego Dominium. Cóż, miał w tym sporo racji... – Przestępował z nogi na nogę, jednak wstrzymał się, gdy nieomal rozdeptał ślimaka pełzającego po mokrej trawie.

– Ulfrik zabił Torygga, racja? – westchnął Orsimer, spoglądając na brzuchonoga wystawiającego długie czułki. – Skyrim nie ma obecnie Najwyższego Króla?

– W tej chwili nie, ale do czasu – nadmienił woźnica. – Przywódca gromowładnych upiera się, że pokonał Torygga w pojedynku, zgodnie ze starą tradycją nordycką. W takiej sytuacji powinien przejąć po nieboszczyku wszystkie tytuły i przywileje, a więc również tron, tyle że cesarz i większość jarłów wolałaby widzieć na miejscu władcy wdowę po zmarłym – wyjaśniał. – Przenikasz myślą te wydarzenia?

– Mniej więcej – odrzekł Golzagor, odnotowawszy, że jego zmoknięte hajdawery już prawie całkiem przeschły. – Mniemasz zatem, iż Ulfrik raczej nie zostanie zwierzchnikiem krainy?

– Musiałyby zdobyć przychylność ponad połowy jarłów Skyrim, a to można osiągnąć tylko w jeden sposób: podbijając ich dzielnice i obsadzając własnych ludzi na kluczowych stanowiskach – rozvodził się furman. – Niestety, takie rozwiązanie pociągnęłoby za sobą wojnę z nieukontentowanymi elfami, dlatego cesarz zainterweniuje, nim do tego dojdzie – powiedział nieco zmarkotniały.

Poucżąca pogawędka pod drzewem zakończyła się, kiedy stangret schował fajkę, a rozpatrzywszy się, orzekł, że chlapanina dobiegła końca. Byleby te przelotne opady nie zapowiadały kilkudniowej szarugi, bo dotąd prowincja prezentowała się tak sielsko i hożo niczym prawdziwa ziemia mlekiem i miodem płynąca! Deresze w międzyczasie zaczerpnęły tchu; popas dobrze im się przysłużył, ponieważ sprawiały wrażenie zniecierpliwionych, jakby oczekujących na dalszy wojaż – niby forsowny, niby długotrwały, a jednak zdawały się tuszyć, że podróż wyciśnie z nich siódme poty. Zdumiewająco zahartowane i chętne do pracy koniska, tak jak na rasę wyhodowaną w mroźniejszym klimacie przystało. Ich właściciel chwycił któregoś za pęcinę, zaglądnął, czy podkowa nienaruszona, a upewniwszy się, że wszystko grało co do

pojedynczego włosa w ogonie, wziął kurs na Wschodnią Marchię, każąc ogierom ciągnąć nader sfatygowaną dryndę z Cyrodiilianinem i orkiem, dociekającym rozumem idée fixe watażki błękitnych wojowników.

Przeto Ulfrik, Ralof, Morten i pozostali toczyli spory z Cesarstwem, albowiem uległo ono elfom, jak również z tego względu, że mieszkańcom regionu nie pozwolono wierzyć w to, w co chcą wierzyć. To poważna waśń, nie ma dwóch zdań, i nieprędko się skończy. W toku dziejów pasowano się z najróżniejszych powodów, nierzadko złożonych, innym razem prozaicznych: drakońskich przepisów, krociowych podatków, sporów o plenne tereny, antagonizmów etnicznych, w końcu z uwagi na ludzkie przywary: zachłanność, zawiść, żądzę władzy, wyniosłość i nieuczciwość. Odkąd atoli ludzie, elfy, orkowie, Khajiitowie i Argonianie chodzili po świecie, amalgamat zagadnień duchowych i zwierzchności królewskiej ustawicznie implikował nawałnice wojenne, a ich rozstrzygnięcia można było odłożyć ad Kalendas Graecas.

Z jakiej racji – wolno nieśmiało zapytać – sprawy kultów i konfesji budziły tak żarliwe swary i niesnaski? Zdaje się, jakkolwiek te naiwne dociekania odległe są od uczonych refleksji, że wynikało to wprost z charakteru czy też natury wyznań w Tamriel, a tych – o czym każdy doskonale wie – było do licha i jeszcze ciut-ciut. Naturalnie wielobóstwo per se nie oznacza istnienia odrębnych religii, lecz co najwyżej jest to jeden system wierzeń o różnych obliczach i odmiennych obrządkach, jednakowoż jak inaczej zdefiniować sytuację, w której: orkowie pokładali ufność w Malacacie; Dunmerowie wierzyli w Azurę; Khajiitowie posiadali własny zbiór opowieści o Wielkiej Konstrukcji – kreacji świata doczesnego; Redgardzi – w czasach, gdy ich kontynent, Yokuda, jeszcze istniał – modlili się m.in. do Satakala, Tu'whaccy i bogów o jeszcze osobliwszych imionach; Argonianie ubóstwiali Hist – święte drzewo; Gildii Złodziei patronowała Nocnica; osoby cierpiące z powodu zaburzeń psychicznych zносиły modły do Sheogoratha, myśliwi – do Hircyna, trędowaci – do Peryite, zakochani – do Mary...? Nie godzi się zapominać o tym, że bóstwa uważano za śmiertelne, tedy od czasu do czasu jedna istota wyższa zastępowała inną, burząc ustalony porządek i konfundując na pozór rezolutne głowy filozofów, zmuszonych do kreślenia nieprzystępnych lektur na nowo.

Wobec takiego nadmiaru bożyszcz nie powinno nikogo wprawiać w zdumienie, że w pewnych okolicznościach – a podboje militarne im sprzyjają! – spotykały się osoby, których przekonania religijne diametralnie się różniły, a nawet wykluczały. Ten miał własnego idola, tamten bił pokłony przed swoim cielcem, a gdy przybył do ich krainy następny podróżnik, żołnierz albo imperator, pragnął, aby wznieść

kolejnego bałwana. Inaczej niż w przypadku opinii, sądów, obserwacji, ocen i gustów – o których rzekomo się nie dyskutuje, lecz na chwilę warto założyć, że jest odwrotnie – światopogląd mieszkańców Tamriel był niewzruszony jak skała, a ich credo pewne niczym amen w pacierzu. Czasami z tej niezmienności, jak niektórzy podkreślali, wynikało coś słusznego: umożliwiała ona trwanie bogatej tradycji w ramach poszczególnych rodów i dzielnic, zapewniała różnorodność, dzięki czemu świat prezentował się ciekawiej, nietuzinkowo, jak też pewna zachowawczość budowała postawę szacunku wobec odmienności – jakże wszak darzyć respektem gjaurów, kiedy punkty widzenia mieszają się? Problem tkwił w tym, że z konfesji nie sposób tak łatwo zrezygnować na rzecz innej, perswadując komu, by nie zatracił się w błędzie czy apostazji, ponieważ wszelkiej maści kultury ex definitione należały do sfery wiary, opierającej się sztuce dialektyki, a jak tu wchodzić z kaloszami do czyjej duszy? Jeśli mieliby o to krew przelewać, to lepiej już, by każdy trwał przy swoim zdaniu.

– Uwzględniając zatem tamrielską profuzję bogów i bogiń – eksplikował rozwlekle „Szczeżuja” – poczynania Aldmerskiego Dominium można odbierać albo jako zamach na wolność religijną Nordów, albo jako troskę o integralność, bo nie powinno być tak, że elfy w Talosa nie wierzą, a Nordowie go kochają. Wszystko zależy od tego, którą stronę sporu reprezentujesz. – Po raz pierwszy od wyjazdu z Białej Grani papla powiedział coś do rzeczy, ale zaraz wrócił do swych irytujących nawyków: – Niezgodność poglądów często niweczy starania o pokój. Podobnie władcyka Puszczy Valen ruszył kiedyś na wojnę z Khajiitami, bo tamci zarzucili mu, że las zbyt się rozrósł i objął niewielką część kocięj ziemi. Musisz wiedzieć, że to nie byle las! Raczej dżungla, selwa! Kiedy przemierzałem drogę do Silvenar, brodziłem po kostki w grzęzawisku, ponieważ ta wstrętna knieja jest tak gęsta, tak zbita, że przez konary nie przedostają się prawie żadne promienie słońca...

Zdegustowany ork wbił wzrok w niebo, jednak – ku jego rozpaczy – niewiele świadczyło o tym, by jakaś zbłąkana trzaskawica spadła z góry i trafiła bezpośrednio w Herbane'a.

Granicę ze Wschodnią Marchią przecięli stosunkowo szybko, ponieważ jeszcze wieczorem tego samego dnia wojażerów powitał kół z przybitą wywieszką o treści: „Witamy w ojczyźnie prawdziwych Nordów”, zaś pod inskrypcją jakiś zbytnik umieścił dopisek: „Fałszywe cesarstwo natomiast żegnamy”. Słowo „cesarstwo” napisano oczywiście małą literą. Wichrowy Tron znajdował się jednak wciąż daleko –

aż na północy dzielnicy, toteż podróżujący wozem przystanęli na nocleg w niepokaźnym folwarku, określanym przez woźnicę jako „młyn zmieszanych wód”. Rzut beretem od przysiółka wpadał bowiem do Białej Rzeki inny potok, płynący z południa, spieniając nurt modrego ruczaju – i stąd uwaga na temat skotłowanej topieli.

W samym młynie praca stała. Nic dziwnego, skoro już zmierzchało. Zakład przerabiający zboże na mąkę zaopatrzony był w koło wodne, podobnie jak tartak w Rzeczej Puszczy, z tą różnicą, że tam pod czujnym okiem Hoda przecierano drewno. Należałoby udobitnić, że dawniej ziarno mielono za pomocą żaren, aczkolwiek czasy te przeminęły chyba bezpowrotnie, dlatego że nie widywało się już kobiet pracujących przy dwóch kamieniach, nie licząc może sporadycznych wyjątków zdarzających się w położonych w szczerym polu wsiach. Obok budynku młyna mieścił się ponadto magazyn, a przy nim – baraki dla pracowników... I to w zasadzie wszystko, co było godne wzmianki w mizernej kolonii.

Wozak tymczasem dziwował się bez przestanku, dlaczego gromowładni, na których trampowie jakoś nie natrafili w tej „ojczyźnie prawdziwych Nordów”, nie skontrolowali dotąd karety, gdyż w trakcie poprzednich wypraw, kiedy stangret przewoził różne indywidua na trasie Biała Grań – Wichrowy Tron, żołnierze poddawali przyjezdnych szczegółowym rewizjom, bacząc, by nie ominąć żadnego konfidenta Legionu Cesarskiego. Pewnego razu bobrowali po cugu tak drobiazgowo, że furman sądził, iż koniom do zadów poczną zaglądać, a jakiejś Bretonce całkiem odmówili wjazdu, jako że trzymała w kieszeni kartkę z bazgrołami, natomiast wyczuleni na punkcie donosicielstwa celnicy uznali to za szyfrogram. Coś musiało być na rzeczy, jeżeli teraz włóczykije wtoczyli się swobodnie do dystryktu, a pies z kulawą nogą nie wyszedł im na spotkanie. Golzagor podejrzewał, choć myśli zatrzymywał dla siebie, że wypadki te wiązały się z triumfalnym zapewne powrotem Ulfrika, ale po chwili uznał, że to bez sensu. Jeśli uprzednio legionieści aresztowali judziciela, podczas gdy on nawiedzał własne majątności, to obecnie warta na kraju regionu powinna być zwiększona, nie zaś zredukowana; w końcu przedtem przeoczono nieprzyjaciół pomimo nadzoru akuratnych rewizorów.

Najwyraźniej ów dzionek zaliczał się do tych, o których gro-Barlurka mawiał, że stanowią dni zadumy, ponieważ przynoszą odpowiedzi na liczne pytania, choć w gruncie rzeczy są relatywnie niezajmujące i nudne, gdyż niewiele się podczas nich dzieje. Poprzednio kuczer udzielił informacji na temat Talosa, potem „Szczējuja” skomentował te wieści w kontekście rokoszu, zaś wkrótce wyjaśnić miał się problem absencji gromowładnych na kresach, jednakże takiego wytłumaczenia nikt się nie spodziewał, a nawet – nikt nie życzyłby sobie, by usłyszeć tak nieprzyjemne nowiny. Przechodząc do konkretów,

uprawiający łazikostwo jegomości natknęli się w niewielkiej odległości od młyna na innych wędrowników: ostrzyżonego na jeża Norda, jego rudowłosą żonę o szerokich ustach oraz ich córkę w wieku siedmiu, może ośmiu lat. Już na pierwszy rzut oka wyglądali na zubożałych, bowiem na głowie kobiety tworzyły się kołtuny, dziewczynka nosiła dosyć poszarpaną sukienkę nie pierwszej świeżości, a facet, trochę niedomyty, trudnił się zapewne pracą na roli, co ork łatwo odgadł, dostrzegłszy w świetle płomieni ogniska jego brudne paluchy i ciemną, spaloną słońcem karnację. Rodzina proletariuszy przesiadywała pogrążona w smutku pod bokiem własnego sprzężaju, chudej szkapy z wystającymi żebrami, a zobaczywszy łazików, jęli biadolić, prosząc o parę septimów. Nad spauperyzowaną rodziną zlitował się Herbane, a wtedy wywiązała się następująca rozmowa, tłumacząca wiele niejasności:

– Och, dziękuję, dziękuję... Niech cię Dziewiątka błogosławi – wyrażał wdzięczność chłop.

– Nigdy bym nie sądził, że obywatel Cyrodiil pomoże Nordowi. Co za zaskoczenie!

– Bieda rozumu uczy – odezwał się „Szczezuja”. – Kiedyś mortus gniótl i mnie, ale wzbogaciłem się na książkach, nie polemizuję. Wielu poszukiwaczy przygód pragnęło przeczytać o krasnoludowych automatonach, wiedźmokrukach, a ja spełniłem ich prośbę, ponieważ wielokrotnie mocowałem się z różnego rodzaju szkaradami. Wygrywałem do tej pory, ma się rozumieć, lecz przytrafiały mi się takie sytuacje, z których trudno wyjść obronną ręką...

– Już, wystarczy! – ofuknął wodolejcę ork, siadając na trawie. – Zdradzę tajemnicę, że sam pochodzę z Prowincji Cesarskiej, choć pewnie na takiego nie wyglądam, więc nie opłaca się wartościować ludzi według pochodzenia – zwrócił się do ubogiego mężczyzny.

– Tylko żartowałem z tą życzliwą dłonią – bronił się. – Lubię opowiedzieć czasem przy palenisku taką czy inną facecję, cha, cha!

– Bardzo przepraszam w imieniu męża – przemówiła Nordka, piszcząc żalnym głosem. – Jesteśmy pełni wdzięczności za każdy grosz. Straciliśmy niemal cały dobytek i musimy wiązać jakoś koniec z końcem – stwierdziła, opuszczając głowę.

Orsimera przygnębiła atmosfera panująca w obozowisku, zwłaszcza że smutek potęgowało zawodzenie białogłowej, kojarzące się z dyskantowymi głosami płaczek na pogrzebach, a gdy pożywiał się pieczonym porem, dziewczynina spojrzała na niego błagalnym wzrokiem, więc oddał jej własny posiłek, który szybko pochłonęła. Golzagor nie chciał ambarasować nieznajomych, jednak ciekawość wzięła w nim górę i spytał:

– Cóż koszmarnego się wydarzyło, że żyjecie jak... No... – szukał odpowiedniego słowa.

– Koczownicy? – wtrącił się oracz. – Smok, uczciwszy uszy, rozpirzył nam wszyścusięńko... Mam na myśli Gajkyne, nie literalnie wszystko. To i tak cud, że uniknęliśmy śmierci – dodał.

Zdumienie malujące się na twarzach słuchających przypominało grymas osoby dławiącej się kawałkiem twardego mięsa. Z oczywistych powodów historią najbardziej zainteresował się ork, acz usiłował markować jakby dostojną, niezaabsorbowaną minę – z kiepskim skutkiem. Kres milczeniu położył furman:

– Smok natarł na Gajkyne?! – zaryczał. – W tamtą stronę jedziemy!

– My natomiast dopiero stamtąd zbiegliśmy – łkała niewiasta. – Robiłam właśnie krosna, Mari bawiła się na podłodze... Wtedy wpadł Ebbe, blady jak ściana, kazał wrychle umykać... – śpiewała baranim głosem. – Pytam się: „Co się stało?”, a on na to: „Żmij krąży nad osiedlem! Bierz Mari i chodu!”. Naówczas chciałam wywiedzieć się czego, gdy wtem... Och...! – zaniósła się płaczem.

– Już dobrze, nie musisz nic mówić. – Nord przytulił ją, próbując pokrzepić ducha w małżonce. – Wtenczas właśnie bestia uderzyła – szepnął. – Checza zawałiła się. O czym tu więcej konferować? – podkreślił, ucinając dyskusję.

W takiej sytuacji nikt nie zabierał głosu, nawet Herbane, lecz małolatka zdawała się mniej z troskana od rodziców, a wręcz podeksycytowana, że ujrzała prawdziwego potwora. Nieświadoma powagi swego położenia i tego, że od tej chwili będzie klepać biedę, zaspokoila już głód prowiantem Golzagora, więc język jej się rozwiązał i wyrwała się z komentarzem:

– Smok był wielki! I taki piękny! Zielony jak liście na wiosnę! A strażnicy strzelali do niego z łuków: siup, siup! – Lewą rękę wyprostowała, a prawą wygięła do tyłu, naśladując napinanie cięciwy.

– Mari! Nie ma w tym nic zabawnego! – połajają ją ojciec. – Nieomal zginęliśmy!

– Tak, papo – odrzekła. – Ale był taki śliczny...

– Pograj lepiej z cygą, bo zaraz idziemy spać. Tylko nie zbliżaj się do rzeki! – polecił, natomiast dziewczynka tylko westchnęła niezadowolona, po czym odeszła i jęła szukać zabawki w kufrze.

Podróżnicy pożegnali się z rodziną nieboraków, pozostawiając chłopca wciąż otaczającego ramionami rudowłosą, rozsłochaną panią, którą można byłoby określić jako prawdziwą strażniczkę domowego ogniska – troszczącą się o bliskich, przejmującą się ich losem – gdyby nie fakt, że skromny dom pechowców, ich gniazdo rodzinne, runął podobnie jak zabudowania w Helgen. Jeżeli smok sprostał powaleniu części fortecy, licha chatka z drewna hołyszów z pewnością nie stanowiła dlań przeszkody. Brak żołnierzy gromowładnych na granicy w tak nadzwyczajnych okolicznościach już nie wprawiał

fiakra w zdumienie. Ktoś wszak musiał stawać z bronią w rękę i odpierać w miastach i wioskach ataki maskary; to dużo ważniejsze niż stróżowanie przy jakimś tam krańcu kantonu.

Dorożkarz i „Szczezuja” w owym czasie powadzili się na uboczu, bo pierwszy oświadczył, że nie podąży w głąb Wschodniej Marchii, a drugi przekonywał, że sposobność zaobserwowania smoka przytrafia się raz na tysiąc lat, a ponadto wniósł opłatę za transport do Wichrowego Tronu, a nie do młyna przy gościńcu. Znaleźli sobie temat do sprzeczki! W zasięgu wzroku przy wiatrze siedziała biedota, nad parszywym zrzędzeniem opatrności ubolewała, za nimi – mizerne ostatki chudoby, a ten duet, zamiast desperować spółem, darł ze sobą koty w bagatelnej materii. A niechże pytel tarabani się piechotą, zaś furman zawraca do ciepłej strzechy, póki ją jeszcze ma, jeśli kręci cykorię! Ork nie bał się gada, powstańcom winien był wdzięczność, w taszy nosił cudze pismo; cóż mogło go powstrzymać, przynagla-
jąc do odwrotu? Wybrał się do Wichrowego Tronu z rozmysłem, przeanalizowawszy konsekwencje tej decyzji – całkiem inna historia niż wyprawa do Skyrim parę dni temu z Khajitami – i zawędruje tam, jak dwa razy dwa cztery! Tamte paniska, na księżycy Lorkhana, niech czynią, co uważają za stosowne.

Masser natenczas, skoro o lunie mowa, płonął się na tle ciemnego nieba, uniezwykając scenerię barwnym wieńcem niczym sztafaż urozmaicający krajobraz pędzla przedniego artysty. Kolorowa, z lekka przymglona aureola, opierścieniająca miesiąc, spowijała Czerwony Glob, który mimo kwefu oświecał zaciszę pobrzaskiem, sprawiając, że przenoszące się z miejsca na miejsce sylwetki biwakowiczów, mierz-
wione chłodnym zefirem gałęzie modrzewia oraz budynki „młyna zmieszanych wód” rzucały na ziemię krótkie, rozmyte cienie. Zawitało między dryndę a uwiędły kierz tchnienie eteru z północy: mroźne, ostre, dokuczliwe, rozstrajając luby nastrój schyłku dnia, przymuszając mierzynki do naburmuszonego prychnania. To znak, że zimność jądra dzielnicy czekała latawców, jakby spodziewała się przybyszów, gotując im srogi salut, czyli oziębłą ceremonię powitania. Orsimer imaginował sobie, że najpierw z ostentacją ziąb uchyla kapelusza, kiedy przychodziień pojawia się u wrót grodu Ulfrika, potem honory oddają zamróz i sadz – wyfiokowani, ustrojeni w bieluchne kryształki lodu państwo dobrodzieje – by na zakończenie wystąpiła zima, gwóźdz programu, składając dojmująco beznamiętne pocałunki na policzkach gościa w mieście. Co za wstrętna, poślednia aura drugiej kategorii, którą przyrównać można wyłącznie do warunków atmosferycznych srożących się na najwyższych wzniesieniach gór Jerall!

Zwierzęta pospały się, chudopachołki zagasiły ogień i opatuliły się piernatami, Herbane przeglądając przy ogarku notatki – wypisy z bestiariusm – i tylko Golzagor, jedyny w kompanii, wmyślał się w elegijną opowieść o pięknym, zielonym smoku. Toż wyłącznie gro-Barlurka przepędzał w Helgen,

gdy jaszczur naszedł, toteż nikt inny nie odkrył, że Skyrim znalazło się w kleszczach nadziemskich igr. Kiedy Cesarscy chcieli zgładzić Orsimera, ognisty gad pojawił się, połyskując srebrzystą łuską niczym kleń złowiony w rzece. Ważna obserwacja: tamto monstrum było szare, to – zielone, ergo maskara się przepoczwarzyła albo w prowincji zamęt siały już przynajmniej dwa postrachy.

Nazajutrz powożący mełł gębą nierozsądnie, że jego bratanek ożenił się, więc musi jechać do Markartu, by powitać synowca kosmatą dłonią. Rzucił kaletkę z połową zapłaty za przewóz i nie czekając na impertynencje pod swym adresem, pokazał pięty, ginąc z oczu orkowi i „Szczeżui”.

– A żeby cię chaurus popieścił! – krzyknął w stronę uciekiniera Herbane. – Tchórz i strachajło!

Wóznica pewnie nie słyszał obelg, gdy zniknął za zakrętem, kierując konie z powrotem ku Białej Grani. Orsimer natomiast, w przeciwieństwie do mownego towarzysza, nie uzewnętrzniał rozżalenia; zgoła odwrotnie: zdawał się cały w skowronkach, że pozostałą część trasy pokona na nogach, a nie w przeciekającym, zniszczonym powozie. Paplacz oburknał go:

– Z czego ci tak wesoło? Teraz będziemy wlec się do Wichrowego Tronu. – Gdy zapanował po chwili nad sobą, dodał: – Ech, trudno. Przecie nie takie przeszkody się forsowało, co nie? W zatoce Iliac jest taka wysepka, Balfiera bodajże, znana z tego, że mieści się na niej Adamantowa Wieża. To ponoć najstarsza budowla Tamriel, skonstruowana przez bogów niedługo po stworzeniu świata! Raz ruszyłem do niej wplaw, bo kapitan nie chciał zabrać mnie łodzią, kiedy z nagłą skończyły mi się fundusze w trakcie eskapady. Wyobrażasz sobie? Wplaw! A to nielichy akwen, niech szczeżnę! W pewnym miejscu jęły podgryzać mnie zębacz!

Ork milczał jak zaklęty, oczekując na pauzę, podczas której „Szczeżuja” weźmie wdech. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał przecież kiedyś oddychać, gdyż w innym wypadku udusiłyby go własne słowa.

– ...i wówczas tu mnie złapał, wstrętny dziwotwór. – Herbane pokazywał druhowi bliźnę na prawym podudziu, podwijając spodnie. – A raz dostałem strzałę w kolano, o tutaj. Ha, cieszę się, że tym razem wypuścimy się na ten wygwizdów pospołu, tak kolektywnie, kojarzysz? Wspólnymi siłami, ramię przy ramieniu, osłaniając się nawzajem...

– My? – odrzekł bez emocji Golzagor, zbierając się do wędrówki. – Nie, ty możesz samotnie człapać do stolicy Wschodniej Marchii – wycedził nieśpiesznie. – Ja atoli pójdę w pojedynkę, aby nie słuchać więcej usypiających, drętwych, wziętych z sufitu konfabulacji o niedźwiedziolakach, niedźwiedziokrukach, zbukach i tłukach. – Ciężar spadł gro-Barlurce z piersi, kiedy wygarnął prawdę. – A jeśli spróbujesz mnie dogonić, zaklinam się na Akatosha, że wbiję ci ten sztylet w gardło, co by duby smalone miały ujście, nim trafią do pyska.

„Szczeżuja” zrobił wielkie oczy i chyba zamierzał się odezwać, ale ostrze, którym Orsimer drapał demonstracyjnie brodę irytującego kamrata, wywarło wrażenie na anegdociarzu, dlatego pary z ust nie puścił, tylko kiwnął gorączkowo głową na zgodę, wytrzeszczając przestraszone ślepia. Odetchnął dopiero wtedy, gdy ork odsunął nóż od tętnicy szczękowej. Nie żegnając się, każdy z wędrówców poszedł tym sposobem własną drogą: stangret wyruszył do Białej Grani, Golzagor do Wichrowego Tronu, a Herbane miał doskonałe warunki, by wypatrywać smoków i lodowych upiorów. Jeśli ten ostatni wpadnie na jakiego pokurcza – a smoki przecież gadają! – pokonferują sobie za wszystkie czasy.

Cicerone na oznakowanym szlaku w zasadzie był zbyteczny, albowiem przydrożne słupy, skutecznie zapobiegając pobłądzeniu w dzicy, bezbłędnie kierowały marszrutą – i to wcale nie gorzej niż miejscowy gid. Jediną niedogodność stanowił nader długi dystans, a także przybierający na sile chłód, który uczuliby nawet gęsto obrośnięci futrem Khajiitowie o rubensowskich kształtach. Spieszący do siedziby gromowładnych uznał jednakże, że należy poniechać utyskiwań, boć zasmakował przykrzejszych incydentów, ostał się niepomyślnościom – czy też pierepałkom, jak niektórzy potocznie, lecz nie potoczyście, powtarzają – a uchował się. Z jakiej racji teraz miałyby być inaczej? Okalał go wszakże kryształowy porządek wszechrzeczy, utworzony przez cztery żywioły: ziemię – tę zmarzniętą pod jego stopami, lecz pokrytą brukiem na trakcie; wodę – reprezentowaną przez zbałwaniony ruch Białej Rzeki; powietrze – nieprzyjazne, przemieniające rosę na owocach krzewów śnieżynek w szron; koniec końców światło (ale z pewnością nie ogień, gdyż płomyki przez wiele generacji myślicieli poczytywano za mimozowatą, nadwątloną formę blasku, jak wynikało z nieprostych ksiąg) – w postaci gwiazdy jaśniejącej w gronie cumulonimbusów. Wszystkie cztery, niczym cztery strony świata, konstituowały wspólnymi siłami Nirn, sferę śmiertelników, harmonijnie się dopełniając.

Z samej integralności, logiczności, koherencji świata wynikał krzepiący wniosek: włos orkowi z głowy nie spadnie, bo jeśli każdy element tej misternej układanki zwanej bytem został przemyślany, to i Orsimer pełni jakąś funkcję w bezmiarze egzystencji. Gdyby przecież jego żywot był kazualny, to jako

przypadek trzeba by odbierać też pobyt w Skyrim, cudowną ucieczkę przed smokiem, nawiązanie kontaktu z Ulfrikiem, Ralofem, Mortenem, a nawet spotkanie „Szczezu”. Golzagor miał wyjątkowo marne rozeznanie w doktrynach analitycznych, a jeszcze mniej swobodnie poruszał się w filozofii, ale nawet z punktu widzenia chłopskiego rozumu: gdyby porachować prawdopodobieństwo wystąpienia zdarzeń z ostatnich dni, ile ono wyniesie? Wygrana potyczka z trollem – jeden do trzech, rendez-vous ze zmijem – jeden do dziesięciu milionów, przetrwanie jego płomiennego całusa – jeden do sześćdziesięciu, uniknięcie dekapitacji po wydanym wyroku śmierci – jeden do pięciuset, zaś w celu obliczenia szansy przytrafienia się tych epizodów jednocześnie, ułamki należy pomnożyć, co da razem... Cóż, tyle, co brudu za paznokciem. Niby powiedzenie Bosmerów brzmi: „cud dla jednego jest przypadkiem dla drugiego”, ale chyba trzeba oslepnąć, by wszędzie odnajdywać same trafy, fuksy i zbiegi okoliczności.

Co za nieopisana konsolacja owładnęła duszę wojażera! Jak dobrze być w różowym nastroju! Nie zazna tej uciechy ni zadufek pobierający nauki u światłych umysłów, bowiem dla nich kosmosem dyryguje męt koincydencji, ni redukcjonista, dla którego istność to jeno wegetacja, permanentna absorpcja i ekskrecja, ni trzcina wątła, bo choć myśląca, to zdeptana przez uniwersum gnije, a naprawdę odradza się, zakwita urzekająco i śmieje się miazdźcielowi w twarz. W teleologicznym świecie, gdzie każdy ruch powietrza ma sens, każda mrówka zdąża do celu, jak również każda gwiazda spada ze sklepienia niebieskiego z określonym posłannictwem, żyje się lepiej, a już na pewno – weselej. Ork, dokonawszy tego odkrycia, nie posiadał się z radości, aż łaknął dalszego teoretyzowania, gdyż czuł, że jest w mocy, by przeciąć dowolny węzeł gordyjski. Z jakich pierwiastków wzniesiono Sovngard i Otchłań, jeżeli Nirn stoi na fundamentach czterech żywiołów? Kto uformował miejsca, gdzie znajdują się bogowie, skoro istnieli oni przed wszystkimi? Czymże jest arche? Czy można egzystować symultanicznie jako człowiek i istota najwyższa?

Ale dość tych medytacji, basta! *Primum vivere deinde philosophari!* W otoczeniu wędrownika pojawiało się tyle rewelacyjności i wszystkie zasługiwały na uważanie: wilcze korzenie oplatające ostańce, dolomitowe – a może wapienne? – iglice noszące na grzbiecie karminowe kępy pełzanicy, czarcie kręgi owocników grzyba o wdzięcznej nazwie „stolec chochlika”. Dla wielu niewykształconych mieszkańców Tamriel uwidaczniające się w trawie wieńce kapeluszy znamionowały zło, ponieważ podania ludowe głosiły, że w miejscach występowania tych dziwnych tworów bezwstydni nekromanci gromadzili się, ażeby wskrzeszać magią czarną jak atrament zbezczeszczone zwłoki, a następnie rozporządzać szczątkami wedle uznania: ćwiczyć na nich zaklęcia, posługiwać się truchłami w rytuałach i czynić wszeteczności rozmaite, których niepodobna wymienić. Inne przekazy opowiadały, że dzwonecznik kostuchy – urodziwa roślina

o fioletowych, wiszących kwiatach, skierowanych w stronę ziemi jak wzrok zawstydzonego brzdąca, co spletał psikusa i liczy na wybaczenie – rośnie tam, gdzie wybiła czyjaś ostatnia godzina.

Och, podobnych klechd można przytoczyć co niemiara, lecz czy obróć one na nice bajania o błakającym się Orsimerze z kordzikiem i resztką septimów w kabzie? Bez kwestii – nie, jednakowoż jeden apoftegmat godzi się opisać, jako że w wyniku tej przygody wagabunda zatęsknił za asystą Herbane'a pleciugi, pomimo iż niedawno dałby sobie rękę uciąć, że to brednia, kant i lipa drobnolistna porośnięta ametystami.

Otóż Golzagor kroczył pogodny ubitą dróżką, pogwizdując sporadycznie, gdy jego uwagę przykuło olbrzymie zwierzę pasące się opodal łągu zarosłego czarnym bzem. O stworzeniach czasem mówi się, że są przedstawicielami braci mniejszej – ale nie tym razem. Wielkie, włochate i – stwierdzając *explicite* – śmierdzące bydlę o brązowej sierści zrywało pędy trawą, by następnie umieścić je w paszczy osadzonej między dwoma nieco zawiniętymi kłami. Mamuty, relikty przeszłości, które z jakichś powodów uchowały się w Skyrim, stanowiły dla prehistorycznych autochtonów doskonałe źródło futra i mięsa, natomiast ich szable, czyli zęby, do dziś wykorzystuje się jako cenny surowiec do wytwarzania biżuterii oraz kosztownych sprzętów, takich jak... Tron królewski! Orsimer doznał wnet olśnienia, że w trakcie jego pierwszego snu, kiedy obozował z Khajiitami po przemierzeniu gór Jerall, ukazał mu się sługa zapraszający monarchę do zajęcia miejsca na wygodnym siedzisku – wykonanym właśnie z tego materiału. Przypadek? Przecież ork nie wierzył w przypadki; już to dobitnie skonstatował!

Powziął decyzję, by zbliżyć się do cuchnącego osobnika – powoli, zachowując ostrożność, aby nie spłoszyć mamuta czy zmusić go do ataku. Stwór jednak wydawał się spokojny, ułożony, oswojony z obecnością ludzi i tylko przeżuwał beztriosko żdźbła, popatrując od czasu do czasu na podchodzącą z wolna postać. W pewnym momencie gro-Barlurka znalazł się na tyle blisko morusa, że mógł dobrze przypatrować się śmierdziuchowi. Słoniowata forma życia, gdyby nie była zbrukana błotem i nie woniała odstałym łajnem, jawiłaby się nader majestatycznie, albowiem chodząca skamielina eksponowała doborową, reflektującą promienie słoneczne pelisę, której nie powstydziliby się dystyngowana damulka ze stolicy, przy truistycznym zastrzeżeniu, że lady nie przeszkadzałby wszechogarniający fetor. Ork tymczasem szybko znalazł wspólny język ze zwierzem: głaskał go powściągliwie i podawał na otwartej dłoni własnoręcznie zerwane odrośle, zaś stwór wkładał je ochoczo do gęby i jadł aż mu się uszy trzęsły.

– Dobry flejtuch, dobry... – powtarzał, głowiąc się, jak wołać na mamuty: taś, taś, cip, cip?

Wtenczas na Orsimera padł cień, zasłaniając także przed słońcem znaczny płacheć gruntu. Czyżby druga bestyjka? Golzagor obejrzał się przez ramię i dopiero wówczas spostrzegł, że wmanewrował się w trudną sytuację, gdyż zza opoki wyłonił się przypuszczalnie właściciel pupila. Brodaty, dzierżący w lewicy maczugę, wysoki na pręt – a więc większy od kosmatego stworzenia – gigant obserwował nieproszonego gościa, który przy olbrzymie wykazywał podobieństwo ledwo do smarkacza, co jeszcze nie odrósł od ziemi. Jak można było takiego kolosa nie zoczyć w porę?! Cóż, odpowiedź na tak postawione pytanie przedstawiała się nader zrozumiale: spośród różnych zmysłów orkowie profitowali głównie z węchu, natomiast w mniejszym stopniu polegali na wzroku i słuchu, nie wzmiankując dotyku czy smaku. Odór mamuta skutecznie zamaskował obecność molocha, a w zasadzie wzmógł przykrą woń, ponieważ prymitywne monstrum ziało porównywalnym swądem.

Trzęsący się jak barani ogon tramp postanowił wymknąć się czym prędzej z matni, jednakże z jednej strony odwrót blokowało cielsko stworzenia, a z drugiej unik udaremniał neandertalczyk, niezadowolony wtargnięciem obcego. Nieokrzesany jaskiniowiec uradził po czasochłonnym namyśle, by wygnać z własnego terytorium intruza, tedy poczęstował pięścią natręta krygującego się do dorodnego złajnika, czyli ukochanej, wyrosniętej sobaki troglodyty. Ork z punktu wyłożył się, a potworny ból zgnął go w bark, plecy i przedramię. Wychodził ze skóry, by stanąć na równe nogi i pierzchać. Aż zgiął się wpół z cierpienia, kiedy ciężar ciała niemądrze oparł na ręce. Odnotował wówczas, że kończyzna wykrzywiła się nienaturalnie w stronę, w którą nie powinna była się nachylać. Jęknął przepełniony udręką, mamut wystraszył się zamętu i pognał, a to jeszcze nie koniec gehenny! Gigant posunął do powalonej ofiary, warczał coś, jął deptać wędrownika, miażdżąc Golzagorowi nogi i miednicę...!

Rozłożony na obie łopatki, z czego przynajmniej jedna była strzaskana, pomyślał, że za chwilę skona. Gdyby tylko „Szczezuja” znajdował się w pobliżu, odwiódłby może tę smrodliwą jak cap tykę chmielową od tortur, odwróciłby jego uwagę! Ach, ale otrzymał surowe przykazanie, by wyruszyć własną drogą! I po cóż było czuć do niego anse, po cóż te animozje? Bajarz mordował przecie jedynie uszy; nie ciało, z którego uchodziło życie.

Godzina tułacza atoli jeszcze nie wybiła. Jak przez mgłę zarejestrował strzały trafiające w monstrum, gdy sam odchodził od przytomności rażony paralizem, później nieatrakcyjne mordy orków i strzępki wymiany słów:

– Ale obwieś! Dycha, nie?

– Kto to? Chyba dotoczył się z innej twierdzy.

– Na barana go i do Narzulbur! Może uda się przywrócić go do stanu używalności.